

(F) Niez przyjemności, ba, satysfakcji w tym, iż bywają takie niespodzianki. Zasiadając przed telewizorem, właśnie z myślą, iż raz jeszcze przyjdzie obejrzeć „Norę” pewno nikt nie spodziewał się tylu zaskoczeń. Zdziwiających. Aktorskich, reżyserskich, ale także przecież — autorskich.

Nie, żeby Ibsen się zmienił, ale okazuje się, że można go odczytać niezwykle współcześnie, odsączając od pewnej nadmiernej obyczajowości, zapomnieć jakby o fakcie, iż dramat ten ongiś nazywany „sztuką bestialską, cyniczną i odpychającą...” miał wpływ także na ruch emancypacji kobiet! Nie, nie o to tym razem chodziło; Maciej Englert reżyserując „Norę” spojrzal na tekst sztuki, na materiał tamże zawarty poprzez pryzmat psychologicznych podtekstów, koncentrując uwagę na ludzkich współzależnościach, na skłonnościach ludzkiej natury. A natura — czyż od czasów Ibsena uległa aż takim przemianom? Możliwość poświęcenia, czy są jej granice? Ludzkie zrozumienie? Poczucie ludzkiej krzywdy? Godność osobista?

Nie chodzi bowiem o wylizanie spraw, problemów, zawikłanych i niejednoznacznych doznań i przeżyć, które konfrontowaliśmy poprzez tekst sztuki Ibsena. Bucz w tym, iż „Nora” była tak właśnie zrobiona, że mogła być pretekstem, że stała się przyczynkiem do innego spojrzenia na sztukę i jej problemy. A był to — jakby na dodatek — spektakl niezwykle „telewizyjny”; operował zbliżeniami, wydobywał (bez zbędnej zresztą natarczywości) nastrój, owe ściśnienie, które pozwala na moment skupienia, także w obserwacji aktorskiej gry.

Tytuł tego krótkiego sprawozdania nie jest przypadkowy. Marta Lipińska zagrała Norę, tytułową bohaterkę sztuki Ibsena jako spadkobierczyni wielu znakomych aktorek świata, także wielu znakomitości polskich. Zagrała jakby bez obciążenia, wyposażając tę rolę w wiele cech własnej aktorskiej osobowości przylegających zresztą wyśmienicie akurat do Nory. Pod pozorami dziecliczej wesołości, pod okruciami rozkosznej kobietki skrywała ten cień, uraz, zawód — niedoceniaenia własnego ja. Pokazała, iż potrafi nie przeeksponować nut dramatyzmu, a jednocześnie pokazać głęboko i wzruszająco zawód, smutek, rozczarowanie. Że potrafi wyderosić

Gwałtownie, ale prawdziwie. Piękna to rola!

Partnerowali Lipińskiej: w rolę jej męża Jan Englert, jako typowy, nastawiony na zewnętrzną męczyznę, który robi karierę (znamy takich, jednostronnych, zapatrzonych w siebie, egocentrycznych), Tadeusz Janczar — Doktor Rank, który „na odhodnym” ma ut inne spojrzenie na świat i ludzi (świeżna, ciepła rola z tym odzieniem smutku, który zawsze bywa bliski); Wiesław Kowalski jako Krogstad — człowiek, który tak wiele przeżył, iż jest zdecydowany na wiele. Złego i dobrego.

Dawno nie pojawiała się na ekranie nie tylko Marta Lipińska, ale także Elżbieta Kenińska, jaka to strata dla nas widzów można się przekonać patrząc na rolę, którą stworzyła. Krystyna Linde jest w tym spektaklu nie tylko dobrą wróżką, jest człowiekiem, który tak wiele rozumie, bo tak wiele przeżył. I Kenińska potrafi to wyrazić.

Gwoli sprawiedliwości (a chce się o tym pisać przy dobrych przedstawieniach!) trzeba wspomnieć o interesującej scenografii Marka Lewandowskiego i świetnej robocie realizatora telewizyjnego Joanny Wiśniewskiej. (K)

Poniedziałkowy Teatr TV. Henrik Ibsen: „Nora”. 10.XI. Pr. I g. 30.30.